

Warszawa dnia 25 Sierpnia / 6 Września 1865 roku.

Nr 36. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

VASCO DE GAMA.

Zachodnio-europejskie kraje w XV wieku, przedstawiają nam jedno wspólne i charakterystyczne usposobienie swego ducha, wypływające z położenia geograficznego ich ziemi, oraz z rozwijających się coraz bardziéj i udoskonalających nauk matematycznych i fizycznych. Sąsiedztwo rozległych mórz, tak obficie na Zachodzie Europy rozlanych, wabiło każdego mieszkańca wybrzeży morskich do podróży po gościńcu wodnym, i wyrabiało to usposobienie żeglarskie, jakie w 14-letnim Kolumbie Genueńczyku, obudziło zapał żeglowania po morzu Śródziemnem, i jakie późniejszych ważnych odkryć jego, było prawdziwém natchnieniem. Młodzież wybrzeży morskich, jedyne pole dla odznaczenia się w odwadze znajdowała na morzu; jedynem jéj marzeniem, były podróże po dalekich obszarach oceanu, do czego znowu zachęcały ją i ośmielały dokonane już wynalazki w naukach matematyki, fizyki i astronomji, tak potrzebnych do nauki żeglarstwa. Usposobienie to młodzieży, stało się wkrótce ogólnem usposobieniem całéj ludności zachodnio-europejskiéj, a zwłaszcza po sławnéj wyprawie Kolumba w r. 1492, uwieńczonéj odkryciem Ameryki. Żądza odkrywania nieznanych krajów, opanowała umysły wszystkich mieszkańców wybrzeży zachodnich, mianowicie też Portugalczyków. Odszukane w XIV wieku wyspy Kanaryjskie, oswajały marynarzy z żeglugą po Atlantyckim oceanie, lubo jeszcze z przestrachem poglądali po jego obszarze nigdzie końca nie mającym i trzymali się brzegów, każdy wyskakujący przylądek poczytując za nieprzepartą granicę. Marynarze rozumieli, że ten już nigdy nie powróci, ktoby się zapuścił za przylądek Bajador. Bystry prąd w tém miejscu i pieniste bałwany, które się o skalisty brzeg tego przylądku roztrącają, strachem ich przerażały; rozumieli, iż dalej zaczyna się owa skwarna kraina, gdzie nawet woda kipi i przewraca się od piekącego rozgrzana słońca. Dla obalenia tych i tym podobnych baśni i przesądów tamujących rozwój i postęp w odkryciach ziem nieznanych, Henryk książe portugalski założył szkołę marynarzy i obserwatoryum w Sagres, gdzie zebrał najsławniejszych uczonych, a między innymi wezwał tu Jakóba z Mallonki, męża biegłego w żegludze, który bardzo zręcznie rysował karty i robił narzędzia. Tu zaraz poczęto rozpatrywać się w odziedziczonych



Vasco de Gama.—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Regulski).

wiadomościach jeografii i żeglugi; poprawiono karty używając igły magnesowéj. Żeglarz mógł wśród najciemniejszéj nocy bezpiecznie płynąć, a gdy Portugalczykowie przylądek Bajador opłynęli, spadła zasłona zakrywająca kraje podzwrotnikowe, poznano brzegi Afryki, i nakoniec o trzysta mil odległe wyspy Azorskie odkryto, a papież wszystkie kraje odkryć się mające koronie portugalskiéj darował. Lecz Henryk nie dożył urzeczywistnienia swych nadziei, któremi było szczególniéj opłynięcie Afryki i odkrycie drogi do Indyj. Po jego śmierci dopiero, za panowania króla Emanuela Wielkiego, mogła się Portugalja poszczycić tem odkryciem, którego dokonał Portugalczyk, *Vasco de Gama*, słynny żeglarz i podróżnik nieustraszony, pod koniec swego żywota nawet vice-królewską godnością zaszczycony. *Vasco de Gama* odkrył przylądek Dobréj nadziei i otworzył nową drogę do Indij. Odkrycie Portugalczyków, wprawiły w zadumienie narody Europy w XV wieku, a mała Portugalja w wyobraźni ludzkiéj na olbrzyma wyrosła, nie siłą oręża, ale przez naukę. Wnet kupieckie towarzystwa w nadziei zysku, w dalekie strony morza okręty swoje wysyłały; nie jeden bogaty kupiec sam się puszczał na morze, na swoim okręcie. Powracający z wypraw, opowiadali o krajach i ludziach odkrytych rzeczy niesłyszane dotąd, a wyobraźnia ustrojona i natężona marzeniem o nadzwyczajnych rzeczach, dokończyła obrazów najfantastyczniejszych, zapalających cały świat do podróży. Rzeczywiście zaś nauka i handel ogromne osiągały korzyści. Odbywane podróże udoskonaliły geografią, wzbogaciły historję natury, rozszerzyły zakres wiedzy, a nawet spostrzeżeniami na dzikich ludziach robionemi, nakłaniały do głębszego badania jestestwa Stwórcy, i człowieka, oraz ocenienia wysokich wpływów oświaty i cywilizacji, czyli podniosły filozoficzne nawet umiejętności.

Lecz wróćmy się do naszego Portugalczyka, bo o nim tu wyłącznie zamierzyliśmy sobie słów parę powiedzieć.

Vasco de Gama, urodził się w małem nadmorskiem miasteczku *Sines*, w prowincji Alentejo w Portugalji. Rodzice jego, ze staréj i znakomitéj pochodzący familji, wychowali go jak najstaranniéj, nie przeszkadzając bynajmniéj rozwijającéj się w jego duszy, żądzy zostania żeglarzem. Przykładając się pilnie do nauk matematycznych, a późniéj astronomicznych, do czego miał ogromne wrodzone zdolności, zaraz z początku swego naukowego zawodu, miał Vasco cel swoich zabiegów wytknięty, a tym było podróżowanie po morzu, i odkrycia nieznanych krajów. Ten cel mając na oku, do niego wszystkie swoje usiłowania kierował, i całe ukształcenie jego odbywało się odpowiednio do obranego zawodu. Wrodzone zdolności i niestłumiony niczem zapał, dopomagały mu do tego, iż w krótkim czasie znajdował się blizkim urzeczywistnienia swoich zamiarów. Zostawszy bowiem marynarzem, i wkrótce mając sposobność okazania swoich zdolności, awansował bardzo prędko po szczeblach żeglarskich zaszczytów, i niebawem został kapitanem. Gdy zaś w r. 1497 król portugalski Emanuel Wielki, popierający wielce wszelkie w naukowych celach przedsiębrane podróże morskie, urządził w Lizbonie sam wyprawę, w celu odkryć naukowych, *Vasco de Gama* został przez niego powołanym na dowódzcę téj wyprawy, składającéj się ze 160 żołnierzy i żeglarzy. Dzielny ten dowódzca znany już był wtedy ze swéj głębokiéj nauki, oraz rzadkiéj odwagi i rozsądku. Emanuel powierzył mu tę wyprawę z całém zaufaniem, i dnia 9 lipca *Vasco de Gama* wyruszył w podróż daleką, odbiwszy z portu w Lizbonie. Mała ta flota, doznała zaraz prawie z początku swéj wędrówki po morzu, nie małego niepowodzenia. Wiatr przeciwny nie pozwalał kierować drogi według upodobania, i przedłużył podróż w dwójnasób. Z tego też powodu dopiero 16 listopada, dobili do znanego już dzisiaj portu pod nazwą Tafelbaj (czyli Stołowego), spoczęli w nim przez dni kilka. *Vasco de Gama* jednak nie mógł długo spoczywać. Czynny i energiczny duch jego, nie pozwalał mu zostawać w spokoju. Po czterodniowym wypoczynku puścił się na morze i opłynął południowy kraniec Afryki, zamierzając skierować drogę w kierunku Północno-wschodnim. Lecz oddział jego, niepowodzeniem dotychczasowem zrażony i niepewnéj obawiając się przyszłości, domagał się powrotu do Portugalji. *Vasco de Gama* musiał używać wszelkich sposobów uspokajających i przekonywających; musiał prawie zaręczać bezpieczeństwo dalszéj podróży, i długo bardzo natężać swoją wymowę, zanim mu się udało skłonić ich do wytrwania w rozpoczętem dziele. Jego jednak nic nie zrażało. O wszystkich kłopotach téj podróży zapomniał, kiedy pomyślne wiatry zaniosły go do Sofala, gdzie sądził, że odkrywa stary *Ophir*, i gdzie na powitanie wyszli naprzeciw niemu ludzie na pół cywilizowani, utrzymujący z Azją handel na morzu, i mówiący po arabsku. Była to niezmiernie ważna wskazówka dalszego poszukiwania. *Vasco* szczęśliwy był z swéj podróży. Z początkiem marca 1498 przybyli do Mozambiku, i wylądowali w Mombazie na wybrzeżu Zankweborn.

Żyjący tam Maurowie poznali w Portugalczykach ten sam naród, który na przeciwległym krańcu Afryki od wielu lat z Mahometanami zaciętą prowadzi wojnę. Podburzyli przeto wszystkich miejscowych książąt przeciw obcym przybyszom, którzy z tego powodu nie raz w wielkiém znajdowali się niebezpieczeństwie, którym nareszcie udało się w Melindzie zawrzeć tymczasowy związek przyjacielski, pod warunkiem przyjęcia Pilota pochodzącego z *Guzerat*, za naczelnika swego i przewódzcę. Pod jego wodzą, dostał się *Vasco* 20 maja do Kalkuty na wybrzeżach *Malabar*, pozostał czas jakiś i w tem mieście kwitnącem, które już naówczas było punktem środkowym handlu, wszystkich wybrzeży wschodnich, Afryki, Arabji, odnogi Perskiéj i półwyspu Indyjskiego. I tu także Maurowie wystąpili przeciw Portugalczykom, lecz i tym razem zręczny *Vasco de Gama* umiał sobie postąpić z niemi, i nawet udało mu się w księciu czyli króliku owego kraju, Zamorynie, obudzić cześć ku sobie. Zadowolony z swoich odkryć, zabierał się Gama do powrotu, z czego najbardziéj jego zniecierpliwiona załoga się cieszyła. Odwiedzając po drodze odkryte poprzednio miejsca, wylądował nareszcie w Lizbonie w listopadzie 1499 roku. Tu dopiero czekały go wieńce zasługi. Mnóstwo ze wszystkich stron pochwał, powinszowań i czołobitności spływało na niego. Otrzymywał tytuły, odznaczenia i zaszczyty, i znaczniejsze zapewnienia dochodów. Król Emanuel bowiem, po téj podróży *Vasci de Gama*, ujrzał urzeczywistnienie swoich marzeń, połączenia się morzem z Indjami, i natychmiast wysłał tam nowy oddział, pod wodzą Piotra *Alvareza Cabrala*, dla za-

kładania osad. Nie w wielu jednak miejscach, powiodło się to przedsięwzięcie; w Kalkucie nawet 40 portugalskich osadników wymordowano. Dla zapobieżenia nadal podobnym nadużyciom, a właściwie zaś dla ustalenia handlu na morzu, za pomocą którego Lizbona miała nabyć ważność, jakiéj przed tem nie przeczuwała, uzbroił Emanuel nową załogę z 20 okrętów składającą się, i dowództwo jéj powierzył w pewne ręce czczonego już prawie w całéj Portugalji *Vasca de Gama*. Oddział ten wyruszył w drogę 1502. Znajomą już drogą szło teraz lepiéj, bezpieczniéj i pewniéj. W krótce dotarli szczęśliwie do wschodnich wybrzeży Afryki, i wzmocnili istniejące już osady portugalskie w Mozambiku i Sofali. *Vasco* puścił się następnie najprzód do *Travancore*, po drodze zabrał lub zatopił wszystkie okręty należące do Zamoryna, i ostrzeliwaniem Kalkuty, jako też zniszczeniem floty z 20 okrętów złożonéj, zmusił go do zawarcia pokoju i zwrotu kosztów wojennych. Był to wyborny rodzaj zemsty, czyli ukarania hardego księcia, wykonany z wielką rezygnacyą i rozsądkiem przez *Vasca*, a skutkiem jego jeszcze było i to, że w innych okolicach wieści o tem zwycięztwie rozniesione napełniały miejscowych mieszkańców szacunkiem i strachem dla portugalskiego oręża. Z tego też powodu, udało się Portugalczykom zawrzeć z innemi książętami miejscowymi, bardzo korzystne związki. W ogóle wyprawa ta nadzwyczaj była pomyślną. Już bowiem 20 grudnia 1503 roku powrócił z niéj szczęśliwy Vasco do Lizbony, przywiozłszy ze sobą 13 okrętów, bogatemi towarami ładownych. Za to też czci i uwielbienia, jakiego od króla i współrodaków swoich doznawał, granic już prawie nie było. Omało nie noszono go na rękach. Wszędzie z uszanowaniem wymieniano jego imię, które też rzeczywiście w historji wzbogacenia się Portugalji nie małą odgrywa rolę.

Po téj szczęśliwéj wyprawie, która już dalsze podróże do Indyj ułatwiła i zabezpieczyła, *Vasco de Gama*, pozostawał na lądzie, wypoczynku swego używając na nieustanne prace około nauki ulubionéj, chcąc doświadczonem nabytkiem zaoszczędzić swym następcom żeglarzom, wielu kłopotów i niebezpieczeństw. Tymczasem zaś w osadach portugalskich w Indjach, rządziło kolejno po sobie pięciu vice-królów, a ostatni z nich, *Edward de Menezes*, był tak nieszczęśliwym i niezaradnym, że król portugalski Jan III, nie widział innego ratunku, jak tylko uprosić *Vasco* o przyjęcie godności vice-króla i udanie się na miejsce swoich dawniejszych bohaterskich czynów. Szlachetny starzec, przyjął ochoczo na swoje stargane wiekiem siły, to posłannictwo, bo wiedział, iż na nim dobro jego kraju polega. Wypłynął w 14 okrętów 1524 roku, i wtedy na nowo w staréj jego piersi obudził się ten sam zapał, z jakim niegdyś, młodzieńcem jeszcze będąc, puszczał się w nieznane obszary morza. Ze zwykłą sobie zręcznością i przezornością dobił szczęśliwie do miejsca swego przeznaczenia, ujął ster rządu energicznie w swoje ręce, i w krótkim czasie przywrócił powagę Portugalczyków w Indyach. Dużo się także do jego szczęścia przyczyniło i to, że jego zacne i pełne godności postępowanie, obudzało nawet w ulegających mu poszanowanie ku niemu.

Vasco de Gama nie długo jednakże był vice-królem w osadach portugalskich w Indjach. W tymże samym bowiem jeszcze roku tj: 1524 umarł w *Cohinie*, mieście na jego rezydencją przeznaczonem, z wielkim żalem przyjaciół i poddanych.

Zwłoki jego przewiezione zostały do Portugalji, i tam z największą czcią pochowane, w obec niezliczonego tłumu współrodaków, którzy mu nową część świata zawdzięczali. Cała Portugalja przejęta była najszczerszym żalem, po stracie tak zasłużonego dla niéj męża, którego imię w historji świata nie mniejszą otaczane bywa chwałą.

W charakterze *Vasca de Gamy*, spostrzegamy trzy szczególniéj wybitne cechy: nadzwyczajną w każdym postępku *rezygnacją*, t. j. gotowość do czynu, i obok tego zarazem *wielką przezorność i przytomność umysłu*. Nie wątpliwą jest rzeczą, iż te przymioty duszy w połączeniu ze sobą tylko gienjalnym ludziom mogą być właściwemi. Rezygnacja bowiem najczęściéj szkodliwe sprowadza skutki z braku przezorności; a przytomność umysłu w wielkich sprawach, wielkich tylko duchów jest udziałem. Między mnóstwem współczesnych wynalazków i podróżników odróżnia się nadto *Vasca de Gama* od wielu sprawiedliwością, zaufaniem i szlachetnością, a nadewszystko szczerą religijnością. Jego odkrycie drogi morskiéj do Indyj, nie mniéj jest ważne, od odkrycia prawie ówczesnego Ameryki przez Kolumba. Najsławniejszy poeta portugalski Kamoens, o którym możemy tu nawiasem napomknąć, iż mimo swego gieniuszu żył w największéj nędzy i poniewierce, napisał prześliczne dzieło p. t. *Luizyada*, któréj przedmiotem jest właśnie to wielkie odkrycie *Vasca de Gamy*.

J. K. Turski.

CZWARTE PRZYKAZANIE.

Kto ojca, matki swéj nieuszanował,
Przy swem nie ogrzał ognisku,
Kto syty, strawy im swéj pożałował,
I nieutulił w ucisku....

Biada mu, biada!—tego Bóg odstąpi,
Własna mu chata wychłodnie,
Ziemia mu chleba kawałka zaskąpi,
A ludzie przyjmą obłudnie.

A gdy na świecie kara go ominie,
Sumienie będzie mu wrogiem,
I dręcząc w śmierci ostatniéj godzinie,
Na sąd powoła przed Bogiem.

A więc szanujcie ojców swych i matki,
By wam Bóg szczęścił na ziemi,
Dał wam cnotliwe, szanujące dziatki,
I dziećmi przyznał was swemi.

Jan Prusinowski.

ŻYCIE W PUSZCZY.

PAMIĘTNIK SPRAWIEDLIWEGO CZŁOWIEKA.

(*Ciąg dalszy.*—Patrz Nr. 35).

Ranek był prześliczny. Z lasów wznosiła się szara mgła ku niebu, a z poza niéj, przedzierały się złote promienie wschodzącego słońca; ranna rosa stała po polach i łąkach, czysta i jasna jak perełki, a w górze po nad głową rozchodziło się cudowne śpiewanie skowronków, Bogu na chwałę nucących.

Więc ja szedłem i zdjąłem kapelusz z głowy i mówiłem ciche pacierze, widząc jak wszystkie stworzenia wznoszą pochwalne pieśni Wszechmocnemu Panu.

Znałem ja doskonale całą Korczówkę, bom przecież pasał tam bydło przez tak długie lata; więc znałem każdą kępę, każde drzewko i każdą łączkę, wiedziałem gdzie jaki kamień leży, gdzie jaki potoczek płynie, a co gdzie w czaharach i w lesie: ale też za to nie znałem nic prawie z dalszych okolic mojéj wsi rodzinnéj. Bo i jakże miałem znać, kiedy człowiek dzień w dzień ludzkiéj chudoby pilnował, a raz się tylko trafiło, że mię gospodarze w Niedzielę świętą do blizkiego miasteczka na furę zabrali, a drugi raz tom z ludźmi chodził na jarmark przez lasy, i tyle wszystkiego. Ujrzawszy więc las przed sobą, myślę sobie:

— Pójdę ścieszkami do miasta, może tam będzie jaka robota; a nie, to sobie zarobię tylko na bochenek chleba, i znowu ruszę w świat Boży, gdzie oczy poprowadzą.

I przypadła mi jakoś odrazu ta myśl do serca; więc skończywszy właśnie pacierze, przeżegnałem się i wstąpiłem w las, na ścieszki, i szedłem daléj a daléj.



Bychalski.....błogosławi oboje.—(str. 291, szp. 2).
(Rysował Jastrzębowski — wyciął na drzewie W. J.)

Ot, dziwne jest to moje rodzinne Polesie! Niby smutne i jednostajne, a przecież, jak się zaczniesz rozglądać, to dużo tam rozmaitości! Więc też mnie idącemu nic się nie przykrzyło. Był zrazu las i las, prawie same sosny, a jedna w drugą taka, że wierzchołka trudno dojrzeć; gdzie zaś sosny ustawały, to zarastała bujna brzezina, biała i smętna z liśćmi w dół opuszczonemi, trafiała się wreszcie olszyna, i grabina, i inne jeszcze drzewa, których wcale nazwać nie umiałem, a dołem to się już rozsiadła bujna leszczyna i szypszyna, raz był gąszcz i ciemno, to znowu rzadko i słonko Boże na ziemi. Pod nogami rzucała ci się tu i owdzie skąpa trawa, bo częściéj był szczery nagi a żółty piasek, zeschłemi szpilkami i szyszkami sosnowemi niby to płaszczem pokryty. I była dziwna świeżość wiośniana w powietrzu, a mnóstwo ptaszków świegotało po krzakach, i muzyka ta budziła wielką radość w sercu.

Tak mi się szło jakoś blizko do południa, rzeźko i wesoło, a że ścieszki nie spuszczałem z oka, więc byłem pewny, że dobrze idę. Naraz ustał las i wyszedłem na czyste pole; po lewéj stronie nic nie widać, jeno drobne krzaczki z leszczyny i grabiny, a w głębi ciemny bór; zaś po prawéj dalekie, kępiaste błoto, a po niem rzadkie gdzieniegdzie brzozy i olszyny, i trawa, choć wczas na wiosnę, przecież dość wysoka. Na suchszych nieco miejscach widać kilka stożysk zeszłorocznych, zczerniałych od słoty i śniegu; na stożysku wrona osowiała kracze, a w dali podniosło się stado czajek, i zawodząc żałobliwie krążyło nad błotami.

Szedłem i szedłem, a jakoś coraz cięższéj mi się robiło, bo słońce jęło dopiekać, jak gdyby gdzie w środku lata. Zdjąłem płótniankę i przewiesiłem przez ramię, ale i to nie wiele pomogło, bo taki był par w powietrzu, że człowieka aż z nóg waliło i osłabiało. Szedłem z zwieszoną głową i patrzę, a tu z daleka niby gałęź przez drogę rzucona, ale jakaś ni bura ni zielona a srokata: podchodzę bliżéj, a tu mi ona gałęź szast ze ścieszki w kłąbek, i między trawę! Aha wąż myślę sobie, ale nie przestraszyłem się wiele, bom nie raz już węże w lesie znajdywał, choć tak wielkiego jak ten oto na drodze, tom nigdy przed tem ani potem nie widział.

Zaczęła mi się już przykrzeć droga w téj parnocie, ale szczęściem znowu las nastąpił, więc zaraz od brzegu rzuciłem się w cienistem miejscu na ziemię, wyjąłem chleb z kobiałki, i odpoczywając spożywałem dar Boży. Gorąco nie ustawało, lecz owszem par co raz większy robił się w powietrzu; więc mnie pożywionemu pić się zachciało niezmiernie, i ruszyłem z miejsca poszukać wody, bo oto tam nigdy nie trudno. Jeno kawałek zeszedłem w bok na moczar i znalazłem wody poddostatkiem, tylko mię to zdziwiło, że dno wszędzie było dziwnie czerwone, zgoła czerwieńsze od cegły, a woda nad niem czysta jak łza, ale twarda w smaku i jakoby żelazem jakiemś trącąca. Lecz mnie w pragnieniu smakowało wszystko, byle mokre, więcem jéj dużo wypił przez rurkę, wyłamaną z zeschłéj trzciny moczarowéj, i tak pokrzepiony, wróciłem na moje miejsce.

Tutaj położyłem się na wznak i patrzałem w sine niebo, jak się na niem maleńkie niby ptaki chmurki pokazują; patrzałem i myślałem sobie jeszcze o onéj wodzie z czerwonym piaskiem, bom pierwszy raz taką pił i widział, i myślałem sobie, dla czego to ja przedtem chodząc do miasteczka jéj nie uważałem. I zdawało mi się potem, że ja przez to błoto wcale z ludźmi nie przechodziłem, alem sobie pomyślał:

— To wszystko jedno; zawsze ja w jedną stronę idę, a miasteczko musi już być ot tuż, tuż za lasem.

No, i tak myślący zapatrzyłem się jeszcze bardziéj w sine niebo, a tu z onych małych chmurek robiły się coraz większe, coraz większe, i tak mi się jęło rozpływać przed oczami a potem ciemnieć i ciemnieć, że i zasnąłem, sam nie wiedząc kiedy.

Nie wiem jak długo spać mogłem, bom spał bardzo smacznie, tyle tylko pamiętam, że mię jakieś huczenie ze snu obudziło, a gdy otworzyłem oczy, to mi się zdawało ciemno jak w piwnicy. Skoczyłem na równe nogi, przecieram jeszcze raz oczy, patrzę, a tu okropne czarne chmury nademną, grzmot straszny się rozlega i błyskawice migają jak szalone. Strach mię wielki ogarnął: sam, samiutki w lesie, a burza aż ciemno, pioruny i błyskawice, więc przeżegnałem się z trwogi, a potem skoczyłem w głąb' lasu i biegłem śpiesznie, jak gdyby co za mną goniło.

Grzmoty i błyskawice nie ustawały ani na chwilę, a ja wziąwszy raz nogi za pas idę i nic nie pytam, aż tu ozwał się nagle jakiś trzask i szelest razem z błyskiem, a potem jak nie zarechocze nad głową mi, jak nie huknie, tom myślał, że już całe niebo na las się zwaliło, i przykucnąłem do ziemi, ogłuszony prawie zupełnie. Po małéj chwilce przyszedłem do siebie, patrzę, a tu o jakie piętnaście kroków przedemną, całe naręcze świeżych gałęzi na ziemi, i zielonych igieł sosnowych jak maku natrzęsiono. Przystępuję bliżéj, i czuję jakiś zapach niby siarki, a dziwnie orzeźwiający i widzę, piorun uderzył w sosnę wysoką aż strach; więc nałamał trochę gałęzi, wierzchołek rozłupał na dwoje, a daléj zdarł korę po jednéj stronie do samego spodu tak, że aż całemi kawałami owisła jak strzępy. Strach mię świeży ogarnął, a oraz westchnąłem do Boga z wdzięczności, że o piętnaście kroków odemnie piorunem swym strzelił, bo gdyby też nieco bliżéj, to kto wie coby się było ze mną stało. I przypomniało mi się wtedy, co mi ludzie opowiadali, że piorunowa strzała idzie w ziemię aż na dwanaście sążni głęboko, i dopiero po dwunastu latach na wierzch wychodzi, zkąd się też czasem zdarza, że człowiek wyorze lub wykopie taką dziwną piorunową strzałę. Więc patrzyłem pilnie pod sosnę i oglądałem ją na wszystkie boki, czy też przypadkiem nie ujrzę choć téj dziury, kędy się strzała schowała, ale gdzie tam, ani śladu jakiego otworu w ziemi. Zacząłem sobie też myśleć, czy to prawda, co ludzie o piorunie bają, ale gdzie tam, myśleć nie było czasu, bo jak deszcz sobie nie lunie jak z cebra, to aż cały las zagadał nito rzesza ludzi.



Grzmiało i błyskało się ciągle, — (str. 289, szp. 1).
(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Styfi).

Grzmiało i błyskało się ciągle, choć już nie tak bardzo, a otóż ja piorunem od Pana Boga ostrzeżony, przypomniałem sobie dopiero, że ludzie nie radzą się chronić w czasie burzy pod wysokie drzewa, ani biegnąć podówczas nie pozwalają, bo to jak mówią pioruny przyciąga; więc w skutek onego przypomnienia, poszedłem w bok, w nizkie krzaczki, i tam się położyłem, chcąc jako tako przeczekać owę burzę. I wolałem tu przemoknąć do nitki, niż być w głębi lasu niepewnym, czy też w człowieka grom z nieba nie uderzy.

Po jakiéj pół godzinie ulewnego deszczu, zerwał się mocny wiater, i wnet ustało wszystko, uciszyło się, a ja ujrzałem niebo nad sobą, tak czyste i sine jak przedtem. Zerwałem się też i wylazłem z pod krzaków, ale jakżem się zdziwił, gdym nie znalazł żadnéj drogi ani ścieżki przed sobą! Nadarmo wracam się po dwakroć, chcąc koniecznie drogę mą odszukać; ani śladu. Jeszcze bardziéj zabłąkałem się tylko i nic więcéj. I znowu trwoga ogarnęła moje serce, ale nie traciłem otuchy, i złożywszy całą mą nadzieję w Bogu jedynym, ruszyłem tak jak stałem pomiędzy drzewa i krzaki. I szedłem, szedłem tak długo, dopóki się zmierzchać nie zaczęło, a nie mogłem nigdzie wyjść, bodaj na łączkę lub moczar jaki, lecz owszem brnąłem coraz bardziéj w las gęsty i czarny. A owóż ujrzawszy wreszcie, jak promienie gasnącego słońca czerwono przez gałęzie sosnowe się przedzierają, zatęskniłem rzewnie za moją wsią rodzinną, i stanąwszy oparłem się o drzewo, a łzy serdeczne ciekły mi cicho po twarzy.

— Oh Boże, mój Boże, pomyślałem wtedy, przecież mi nie dasz zginąć w tym przepaścistym lesie? A przecież nie za swawolą, jeno za pracą idę ja w świat szeroki, i mam być tutaj szarym wilkom na żer zostawiony? — i tak myślący zapłakałem sobie jeszcze rzewniéj na moje lata młode, i na tę moją dolę nieszczęśliwą.

Ale cóż płacz pomoże, gdzie się ratować trzeba? A Pan Bóg tylko cię wtedy z nieszczęścia wywiedzie, gdy sam gorliwie przyłożysz rękę do swego ratunku. Więc i ja wonczas, porzuciwszy łzy na nic nie przydatne, myślałem nad tem co ze sobą począć; oglądałem się tu i tam; widzę las i las naokoło, kto wie na ile jeszcze mil długi i szeroki, więc wnet się z tą myślą pogodziłem, że trzeba nocować. Nie nowina mi to była nocować w lesie lub na polu; ale mój Boże, zupełnie inne bywały przedtem owe noclegi: wraz z innemi pastuchami nieciło się ogień ogromny, a przy ogniu śmiechy i gawędy, albo i chwila snu słodkiego, tak, żeś nie wiedział zgoła kiedy noc minęła. O, jakże inaczéj było mi teraz samiuteńkiemu, śród bezdennéj puszczy, głodnemu i przemokniętemu bez krzemienia i krzesiwka? Na około ciemno i coraz ciemniéj, głucho i smutno bez szczebiotu ptaków, i tylko u góry kilka ukazujących się jasnych gwiazd, a nad niemi Pan Bóg! Lecz jam już opłakał moją przykrą samotność, więc teraz oglądałem się tylko za najwygodniejszem gdzie drzewem, i postąpiwszy w tył kilka kroków na lewo, znalazłem parę rosochatych dębów, które mi wygodny obiecały przytułek. Z łatwością wdrapałem się do połowy jednego z nich, i wnet wyszukałem tam dwie gałęzie tak do siebie wyrosłe, żem mógł wygodnie na jednéj z nich usiąść, oparty bokiem o drugą a o pień plecami. I oto, wyszukawszy sobie takie schronienie, uczułem się w mem nieszczęściu choć na chwilkę spokojnym.

Zaglądnąłem do kobiałki, bo mi głód coraz bardziéj dojmował; było tam jeszcze pół bochenka chleba, więc odłamawszy mniejszą część téj połówki, zjadłem ją z wielkim smakiem, zdrożony i zbiedzony. I byłbym chętnie całe pół bochenka spożył, alem sobie miarkował, że jeśli mi przyjdzie jeszcze drugi cały dzień błądzić po puszczy, albo broń Boże i dłużéj, to czemże się pożywię? Hej, a na tę myśl zasępiło się znowu moje serce i dreszcz mię aż przeszedł po kościach; bo rzecz to musi być najstrasz-

niejsza, gdy człowiekowi z głodu umrzeć wypadnie! Tymczasem noc zapadła na piękne, i cisza była głęboka, gdyż wiatr się położył zupełnie, i tylko tuż obok dęba szeptało niby coś nieustannie. Spoglądnąłem na bok i przekonałem się, że to była osiczyna niedaleko od dębu rosnąca, któréj listki ciągle się ruszały cichy wydając szelest. I przypomniała mi się gadka ludzka o tem drzewie. Otóż powiadają starzy, że jak Pan Jezus po ziemi jeszcze chodził, a przed wrogami swemi po drzewach się ukrywał, to one stały spokojnie, chowając go przed złem okiem. A otóż razu pewnego wszedł był też Pan Jezus i na osiczynę przed prześladowcami, a ona zaczęła drżeć cała i zdradziła Go; więc Chrystus przeklął wonczas to drzewo aż do dnia ostatecznego, i dla tego też osika nigdy nie jest spokojna, chociażby i w najcichszą pogodę. Więc myślałem sobie nad tem, czy też to może być prawdą, żeby Pan Jezus marne drzewo przeklinał, i myśląc jąłem drzemać, i byłbym może zasnął, gdyby nagle śmiech niby jakiś przeraźliwy, nie ocucił mię od razu. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

JAK SIĘ WZNOSZĄ POCZCIWI LUDZIE.

OBRAZEK WIEJSKI W DYALOGACH.

*(Dokończenie.—*Obacz Numer 35).

Zosia *(sama).*

Byłożby to uczucie, oh nie! to fantazja, to chwila odurzenia, jak bywa w pańskich salonach, niebawem uspokoi się to młode serce i wdzięczne mi będzie za moją roztropność; roztropność!... Boże wielki! albożpotrzebowałam aż tak wiele, ja, co kocham tak szczerze! Jestże tu cień tego uczucia, które z taką siłą w wierszach swoich odmalował poeta, a które *on* tak cudnie odczytywać umiał *(mówi):*

Była to pierwsza miłość, niewinna, milcząca,
Święta, jak przed ołtarzem lampa gorejąca,
Bez zalotnych uśmiechów, bez słówek ponętnych,
Bez wyrzutów zazdrości i przysiąg namiętnych!
Ale, gdy się ich oczy napotkały razem,
To wnet lgnęły do siebie, jak magnes z żelazem,
Radeby tak pozostać przez miesiące, lata,
I tak patrzeć ku sobie, do skończenia świata.
O! bo ich dusze, zbiegłe po źrenic promyku;
Wiodły czułe rozmowy w bezsłownym języku,
A wrzących uczuć potok tajonych tak długo
Przeciekał z serca w serce niewidzialną strugą,
I stworzył im ocean, po którymby chcieli
W łódce o złotych wiosłach, pływać jak anieli!
Lub jak samotna para śnieżystych łabędzi
Kołysać się na falach, gdzie je wiatr popędzi,
I żyć zdala od brzegów... do skończenia świata!
Tak im błogo schodziły różane ich lata.

Wbiega Głoskowski wyperfumowany w peruce. Zosia *(po chwili milczenia, w czasie którego niby dokończa pisać regestru).* Witam.

Głoskowski.

Ach! Błogosławiony wieczór, w którym od tych nieznośnych prostaków uwolnić się można; niema smutniejszéj posady, nad posadę nauczyciela wiejskiego.

Zosia.

Szkoda, że pan to nazywasz posadą, mnie bowiem to wydaje się powołaniem, a powołaniem prawdziwie pięknem.

Głoskowski.

Pięknem! uczyć bąkać na książce te głowy bez mózgu! Panno Zofijo, to istne bluźnierstwo.

Zosia.

Powiedz pan raczéj uczyć myśleć i rozumieć te dusze, na obraz Boski stworzone.

Głoskowski.

Nie, nie wmówisz pani we mnie gustu do téj pracy, szczęściem przynajmniéj że tego już niedługo.

Zosia.

Doprawdy? a więc interesa pana wzięły obrót pomyślny?

Głoskowski.

Doskonały, doskonały, już prawie wszystko skończone.

Zosia.

Dostałeś więc pan posadę i bez zdawania egzaminu?

Głoskowski.

To byłaby tylko czcza formalność, panno Zofijo, czyż nie znany jestem z prac moich, i wielka mi rzecz nauczać łaciny takich młokosów, to prawdziwy wypoczynek dla człowieka tak uczonego jak ja.

Zosia.

Więc już z pewnością przeniesienie?

Głoskowski.

Z największą, chciałem panią wczoraj o tem uwiadomić, ale nie zastałem w domu, państwo jeździli do miasta.

Zosia.

Mieliśmy ważne sprawunki.

Głoskowski.

Słusznie, słusznie, tak ślicznéj panience często należy się nowy sprawuneczek, a ojciec ukochanemu dziecięciu pewno nie żałuje.

Zosia.

Nie dla siebie kupowałam sprawunki, panie Głoskowski; uważałabym sobie za grzech, na stroje wydawać ciężko zapracowany grosz ojca; on powinien myśleć o starych latach i schować cóś dla siebie.

Głoskowski.

Alboż to on dziś o tem myśli; wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi *(śmiejąc się);* doprawdy panno Zofijo, mógłbyś być wymagająca jak księżniczka.

Zosia.

Panie Głoskowski, robisz mi przykrość tak sądząc, bo poddajesz w wątpliwość prawdę słów moich, ja przecie muszę znać dobrze położenie ojca.

Głoskowski.

(uważnie, nie tracąc jednak fantazji).

Żarty, żarty z poczciwych ludzi, któż to nie wie, że zdatność zbogaca, a ojciec pani, tak zawołany gospodarz, miałżeby nie oszczędzić grosza po tylu latach pracy?

Zosia *(poważnie).*

Był czas istotnie, kiedyśmy się mieli lepiéj; ale choroba matki mojéj pochłonęła wszystkie zapasy, a mówię to bez żalu, bo doprawdy tak miło dziecku dopomagać własną pracą rodzicom, tak miło kiedy młodość nasza wypadnie, w chwili kiedy najdrożsi naszéj pomocy potrzebują.

Głoskowski *(chłodno).*

Śliczne te rączki nie do pracy stworzone, a ja my-

šlę, iż ojczulek dobrą niespodziankę gotuje swéj pięknéj córze, kiedy czas nadejdzie obdarzyć ją bogatem wianem. Ale pozwoli pani się pożegnać *(wyjmując z powagą zegarek)*; o czwartéj poczta odchodzi, a ja muszę donieść władzy, że zezwalam na przyjęcie profesorstwa *(odchodzi)*.

AKT II.

Zosia *(sama w ogrodzie)*.

Siódma już wybiła, koléj za chwilę nadejdzie, on zwykle tą uliczką do nas przychodzi, o jakże serce moje gwałtownie bije, wybiegłam tu naprzeciw niego, bo któż go powita poczciwie, ojciec mój tak uprzedzony, a przecież spełniłam wolę jego, wybadałam sumiennie tych panów. Czyżby ojcowskie serce chciało nieszczęścia dziecięcia! *(Siada na ławeczce pod altanką, zdala widać młodzieńca śpieszącego aleą)*. To on, już go widzę, choć jeszcze jak mgła niknie w oddaleniu, ach, gdyby to można wypowiedzieć co serce czuje... lecz cicho, słyszę szmer, czyżby kto nadchodził? nie, to ptaszek po gałązkach szeleści, a on coraz bliżéj, bliżéj...

Józef *(padając jéj do nóg)*.

O Zofijo ukochana, znów cię widzę po roku tęsknoty, a serce twoje nie zmieniło się dla mnie; zawsze dobra, anielska, chciałaś przyśpieszyć chwilę naszego spotkania.

Zosia.

Czyż dziękuje się sercu za to, że spełnia co mu najmilsze, o gdyby tylko wszyscy w naszéj chacie witali cię tak chętnie, kochany Józefie.

Józef.

Mówisz o ojcu, ukochana Zofijo; porzuć te smutne myśli, mnie coś mówi, że zdołamy go ubłagać!

Zosia *(smutnie)*.

On sądzi właśnie, że mu tak uczucie nakazuje.

Józef.

Otóż dla tego ja mam nadzieję, że go przekonamy; umyślnie opóźniłem przyjazd mój w te strony, żeby módz śmiało przedstawić mu bezpieczeństwo dla losu twojego. Od roku jak na żądanie pana Janowskiego, przeniosłem się z Instytutu do jego majątku, wielkie zmiany zaszły w mojem położeniu; człowiek ten szlachetny ocenił moją pracę i postawił mnie w możności wzięcia w dzierżawę małego folwarku w sąsiedztwie, obok którego zajmuję się zarządem całych dóbr mego dobroczyńcy.

Zosia.

Kochany Józefie! dla czego nazywasz dobroczyńcą tego pana, wszak zasługa ściąga zobowiązanie i sądzę, że on nic więcéj nie uczynił nad obowiązek.

Józef.

Nie, Zofijo, kiedy idzie o podanie stanowcze ręki uboższemu, sprawiedliwość nie wystarcza, trzeba tu jeszcze delikatności i czegoś podobnego do ojcowskiéj opieki, i tego właśnie ja doznałem. Powinniśmy oceniać te przymioty, a im je więcéj ocenimy, tym je częściéj na drodze naszéj spotkamy.

Zosia.

O drogi Józefie, zupełnie podzielam twoje zdanie, chciałam tylko moim małym zarzutem dać ci powód do okazania najpiękniejszéj strony twego charakteru. Człowiek wznosi się nietylko pracą i nauką, ale i wdzięcznością.

(Słychać szelest w altanie, za chwilę ukazuje się pan Bychalski, Zosia zlękniona staje z ławeczki).

Bychalski.

Nie lękaj się dziewczyno, słyszałem wszystko i nie gniewam się na was; pójdź chłopcze w nasze progi gościnne i niech ci one odtąd będą ojcowskiemi.

(Józef rzuca mu się do nóg, Bychalski bierze rękę Zosi, a łącząc ją z ręką Józefa, błogosławi oboje).

SPRZEDAŻ WĘGLA KAMIENNEGO.

„Biednemu wiatr zawsze w oczy," dość smutnie mówi nasze przysłowie. Prawdą to jest przecie i dowody znaleść możemy, niemal we wszystkich stosunkach powszedniego życia. Weźmy tylko naprzykład zaspokojenie naszych potrzeb, tych najużyteczniejszych i nieodbitych do utrzymania bytu. Wiadomo jest, iż każdy kupujący w większych partjach, czy to żywność, czy materjały opałowe, czy odzienie, dostaje to wszystko nie tylko w lepszym gatunku, ale jeszcze za tańsze pieniądze. Drobiazgowa sprzedaż po naszych sklepikach jest bardzo niesumienna, a sprzedający częstokroć ciągną zyski, nie zupełnie zgodne z przykazaniem Bożem. Lecz dla człowieka nie mogącego na raz kilku rubli wydać na jeden przedmiot, owa sprzedaż po sklepikach jest jeszcze dobrodziejstwem. Gorzéj, gdy się tak handel ułoży, że kupić nie można cząstkowo i to jeszcze przedmiotu pierwszéj nieodzownéj potrzeby. Do takich właśnie przedmiotów, należy już dziś węgiel kamienny. Materjał ten opałowy przed lat dziesiątkiem mało znany był Warszawianom, a szczególniéj naszym gospodyniom. Używali go nieliczni kowale, którym za drogie wydawały się węgle drzewne. Powoli zaczęły pisma nasze namawiać do używania węgla, i po urządzeniu pierwszych składów i odbyciu prób, przekonano się o korzyściach tego mineralnego paliwa. Dziś więc na tysiące korcy liczą sprowadzonego koleją do Warszawy węgla, a niemal niema domu, gdzieby jeśli nie w piecach to przynajmniéj pod angielskiemi kuchniami niepalono węglem.

Ale, jeżeli ten materjał przedstawia nie małe oszczędności, to ciągną je tylko zamożniejsi, bo nasze składy węgla sprzedają go tylko na korce. Węgiel nasz jest drogi, stosunkowo mianowicie do cen angielskich. W Warszawie korzec chudego Szląskiego węgla, kosztuje od 5—6 złp. 20 gr. Niżéj trzech korcy nie można kupić; gdzież więc węglem opalać robotnikowi, który zaledwie kilka złotych tygodniowo na ten przedmiot poświęcić może. Na konieczny więc opał, zakupuje sobie drzewo w sklepiku, którego dostanie tam na wiązki..... a chociaż są nie bardzo tanie, to jednak jedynie przystępnie robotniczéj klassie. Bo węgla nigdzie cząstkowo kupić nie można, ani w wielkich składach ani też w sklepikach. Na tę okoliczność zwracamy uwagę naszych czytelników handlujących, mianowicie sklepikarzy. Dobrze by było a nawet koniecznie trzymać węgiel kamienny na cząstkową sprzedaż, którą urządzić trzeba nieinaczéj, jak na wagę. Sprzedaż węgla kamiennego na wagę powinna też być urządzoną i po składach, jako jedynie sumienna. Byłoby nawet pożądanem w interesie ubogich, aby Towarzystwo Dobroczynności, posiadające tyle środków, zachęciło do sprzedaży węgla cząstkowéj. W dziejach dobroczynności niebyłaby to nawet żadna nowość, gdyż w Anglji istnieje po miastach mnóstwo takich stowarzyszeń, (laboures and

artizan's cooperative sosciety), mających na celu zakupywanie węgla w znacznych partjach, po jak najniższéj cenie, a sprzedaż cząstkową takowych ubogim po cenie kosztu. Zresztą i u nas zbierają się składki co zimę na drzewo—dobrze by więc było za część tych pieniędzy kupować stosunkową ilość węgla, i rozdawać je posiadającym już urządzone kominki.

Adam Wiślicki.

Y A K.

Z zastosowaniem i użyciem siły pary do komunikacji wodnych i lądowych, znacznie ułatwione stosunki międzynarodowe, na najodleglejszych krańcach ziemi, wielce przyczyniły się w ostatnich czasach, do rozpowszechnienia po świecie najrozmaitszych ras bydła i różnego rodzaju zwierząt, które uznano za pożyteczne, a które nawet z znaczną różnicą, odpowiednio do ich rodzinnego klimatu, dają się tam hodować, gdzie przedtem nigdy ich nie było.

Wszystkie prawie znaczniejsze stolice europejskie posiadają też dzisiaj zakłady aklimatyzacyjne, w których zajmują się przyswajaniem zwierząt użytecznych, z najodleglejszych części świata do Europy sprowadzonych.

Pod tym względem szczególniéj odznacza się taki zakład aklimatyzacyjny we Francji, gdzie też ostatniemi czasy robiono doświadczenia w zamiarze przyswojenia Europie, bardzo pożytecznego zwierzęcia, jakiem jest *Yak*, sprowadzony z Azji, a przedstawiony na powyższéj rycinie.

Właściwie rodzinnem miejscem *Yaka*, były dotąd okolice Tybetu, gdzie oddaje tamtejszym mieszkańcom też same usługi, co u nas koń, osioł, wół i owca.

Żywi bowiem smacznem mięsem i mlekiem, dźwiga ciężary, daje się używać do pociągu, jazdy i dostarcza w obfitości materjału, z długich gęstych włosów, z którego jak z wełny wyrabia się sukno na odzienia. Kędzierzawy włos, szczególniéj młodych *Yaków*, z trudnością nawet daje się odróżnić od wełny astrachańskiéj.

Zwierzę to jest przytem mnożliwe, umiarkowane i znosi najtęższe zimno. Głos zaś wydaje podobny do rechtania świni.

Yak nareszcie jest wielce podobny do naszego wołu i różni się tylko tem, że ma kark wyniosły na podobieństwo garbu, umiarkowaną jednak i prawie nie znaczną przedstawiającego stoczystość, w połączeniu z resztą budowy ciała. Kolor włosów zwyczajnie bywa albo czarny albo biały, sam zaś ogon podobny do końskiego. Żywi się w lecie trawami na pastwiskach suchych położonych na stoku gór, w zimie zaś sianem i roślinami strączkowemi lub jarzynami.



Yak.—(Wycięto w drzeworytni Lipskiéj Karola Lorcka).

Dodać tu trzeba, że Yak przebywa właściwie, tylko w okolicach zimnych górzystych—we właściwéj jego ojczyznie, dlaczego jak to już doświadczono w zakładach aklimatyzacyjnych, z trudnością dałby się hodować w okolicach nizin. U nas zatem pożyteczne przyswojenie sobie tego zwierzęcia, dałoby się tylko z korzyścią uskutecznić, w okolicach gór Świętokrzyskich i na stoku Karpat, czego też i życzyć sobie wypada, ze względu na wieloraki użytek z hodowli Yaków wypływający.

Zygmunt Jaroszewski.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—*Redaktor*, Adam Mieczyński.